



Marcin Przybylski jako
Guślarz-Diabeł. Zdj. z próby

POWRÓT GUSTAWA- -KONRADA

Pierwszy raz po wielu latach Warszawa zobaczy inscenizację „Dziadów” Mickiewicza w Teatrze Narodowym. Przecieki zapowiadają niezwykle poetyckie widowisko. – Będziecie zaskoczeni – mówi Grzegorz Małecki, który zagra Gustawa-Konrada. Możliwe, że czeka nas wielkie kulturalne wydarzenie



**PIOTR
ZAREMBA**

komentator,
publicysta

Wielki polski dramat romantyczny był szykowany od kilku miesięcy. Jego przygotowania nie podjął się jednak żaden z polskich reżyserów. Zrobił to 64-letni Litwin Eimuntas Nekrošius. Jest autorem wielu cenionych na świecie inscenizacji sztuk klasycznych, m.in. „Hamleta” Szekspira i „Fausta” Goethego.

Spektakl wbrew modzie?

Jak wynika z przebiegu prób, choć z Mickiewiczem łączy Litwina miejsce akcji (Wilno), Nekrošius mniej jest zafascynowany historycznym konkretem fabuły „Dziadów”, bardziej uniwersalną

wymową dramatu. – To będzie przede wszystkim opowieść o narodzinach artysty i o poszukiwaniu Boga – zapowiada Grzegorz Małecki. Ale zarazem obiecuje: – To będzie inscenizacja niezgodna z najnowszymi modami. Szlachetny poetycki spektakl, zaskakująco ciepły.

Czyli coś, czego autorzy współczesnych, najbardziej hałaśliwych inscenizacji teatralnych z klasyką obchodzących się bezceremonialnie, z reguły nam nie dają. Uniwersalizm wymowy ma być wzmacniany przez scenografię autorstwa syna reżysera, Mariusa. Na scenie zobaczymy nieomal księżycowy krajobraz pełen kraterów, które odegrają potem swoją rolę podczas różnych zwrotów akcji.

A zarazem Nekrošius spróbuje nam pokazać wszystkie części: i misteryjne obrzędy z części II, i fragmenty części IV o poszukiwaniach romantycznego artysty, i poetycko-polityczny „reportaż” części III, w którym oglądamy represje spadające na wileńskich uczniów i studentów ze strony carskiej władzy. Będą więc i sek-

wencje więzienne, i Salon Warszawski, i sen Senatora.

Oczywiście całość nie potrwa 14 godzin jak wrocławskie czytanie pełnego tekstu pod kierunkiem ekscentryka Michała Ządary. Ale trzeba się przygotować na przedstawienie długie, choć klarowne, w którym luki fabularne zostaną wypełnione scenicznymi pomysłami, scenami niemymi itd. Inscenizacja ma być pełna rozmachu, bez mała operowa, tempo powolne, z pełnym poszanowaniem dla rytmu poezji romantycznej. W dzisiejszych czasach to właśnie jest eksperyment.

Bardzo młode „Dziady”

Z Grzegorzem Małeckim rozmawiam w kawiarni przylegającej do teatru. Spieszy się na kolejną próbę. Ten świetny aktor przede wszystkim teatralny żyje tym przedsięwzięciem od miesięcy.

Widzom Teatru Narodowego kojarzy się głównie z rolami charakterystycznymi, czasem komediowymi czy groteskowymi.

To m.in. groźny Edek z „Tanga” Mrożka, żalony Ilja Zubatyj z „Miłości na Krymie” tegoż autora; skrzywdzony, współczesny Terry z „W mrocznym, mrocznym domu”

LaBute’a, pocieszny Perote z „Księżniczki na opak wywróconej” Calderóna, odrealniony Cynga z „Bezimienego dzieła” Witkacego.

Tym razem staje przed wyzwaniem wielkiej roli poetyckiej. Jest jednym z najdojrzalszych

Gustawów-Konradów w historii – ma 41 lat (Gustaw Holoubek w „Dziadach” Dejmowskich miał jednak 44). Paradoksalnie grał już tę rolę. Chodzi jednak nie o zwykłe przedstawienie, lecz o dyplomowy pokaz Akademii Teatralnej sprzed 17 lat w reżyserii Macieja Prusa.

Z romantycznym wierszem poradził sobie wtedy świetnie. Potem obsadzano go jednak na ogół w trochę innym emploi – także z tego powodu, że wielki repertuar romantyczny wyszedł z mody. Nawet w Teatrze Narodowym Jana Englerta.

Popularność granego od paru miesięcy „Kordiana” Słowackiego – w reżyserii Englerta – wskazuje wszakże na pewien głód takiego teatru. – Dlaczego „Dziady” były grane tak rzadko, a w Warszawie właściwie wcale? (odnotujmy, że w 2005 r. wystawiono dramat w stolicy pod szyldem Studium Teatralnego im. Ireny Solskiej; był grany w Cytadeli w reżyserii Szczepana Szczykły, ale nie zdobył większego rozgłosu) – pytam na odchodne człowieka, który przez blisko pół godziny będzie mówił Wielką Improwizację. – Bo są trudne, bo się ich boją – odpowiada.

Pomijając osobny przypadek Małckiego, dla którego to zasłużone zwieńczenie kariery, czeka nas zaskakująco młoda obsada. Guślarzem będzie świetny, ale wciąż bardzo młodzieńczy Marcin Przybylski. Arkadiusz Janiczek będzie chyba najmłodszym Senatorenem w dziejach „Dziadów”, Kinga Ilgner – skrzywdzoną matką, panią Rollison. Młodzież aktorska obsadzi role więzionych filomatów. Kamil Mrozek wygłosi sławną opowieść Sobolewskiego. 28-letni Mateusz Rusin zagra księdza Piotra.

Strach przed duchami

„Dziady” odgrywały rolę szczególną nie tylko w dziejach polskiego teatru, lecz i w dziejach Polski w ogóle. Przed wojną wbrew pozorom, choć uchodziły za fundament patriotycznego, niepodległościowego wychowania, grano je rzadko, gdyż uchodziły za trudne i mało sceniczne, bo nie zawsze znajdowano pomysł na powiązanie poszczególnych części, bo wielogodzinne słuchanie poezji było bardzo elitarną rozrywką.

Po roku 1945, choć Mickiewicz i Słowacki byli wydawani w milionowych nakładach i uznani za poetów rewolucyjnych, nie rwno się do wystawiania ich najważniejszych dramatów. Partyjnych kontrolerów raziła wymowa wolnościowa i antyrosyjska, niepokoiła też metafizyka. W kraju, w którym w jednej z inscenizacji Balladynę musiał zabić atak serca, bo nie mógł piorun, nadzorcom kultury nie mogły się podobać scena zapełniona aniołami i diabłami, religijne widzenia, a w ostateczności, pomimo wadzenia się z Bogiem, koncept zwycięstwa Bożej sprawiedliwości.

Dopiero w styczniu 1954 r. na sesji Rady Kultury stwierdzono: „Do rozważań nad Nie-Boską jesteśmy jeszcze mało przygotowani. [...] Ale Mickiewicz i Słowacki domagają się natychmiastowych badań”. Efektem była inscenizacja Aleksandra

Bardiniego z roku 1955 w warszawskim Teatrze Polskim, którą traktowano jako symbol odnowy. Choć reżyser nie pokazał duchów (mówiły przez mikrofony), a Ignacemu Gogolewskiemu grającemu Gustawa-Konrada skrócił Wielką Improwizację o połowę, wszyscy chłonili romantyczny wiersz.

Kolejna sławna inscenizacja – Kazimierza Dejmka w Teatrze Narodowym z listopada 1967 r. – stała się katalizatorem zdarzeń politycznych. W następstwie prawdziwych czy rzekomych antyrosyjskich okrzyków, jakie padały ponoć z miejsc publiczności, władze zapowiedziały zdjęcie przedstawienia i zrobiły to w styczniu 1968 r. To z kolei stało się przedmiotem dramatycznych protestów młodzieży studenckiej i środowisk intelektualnych w Marcu.

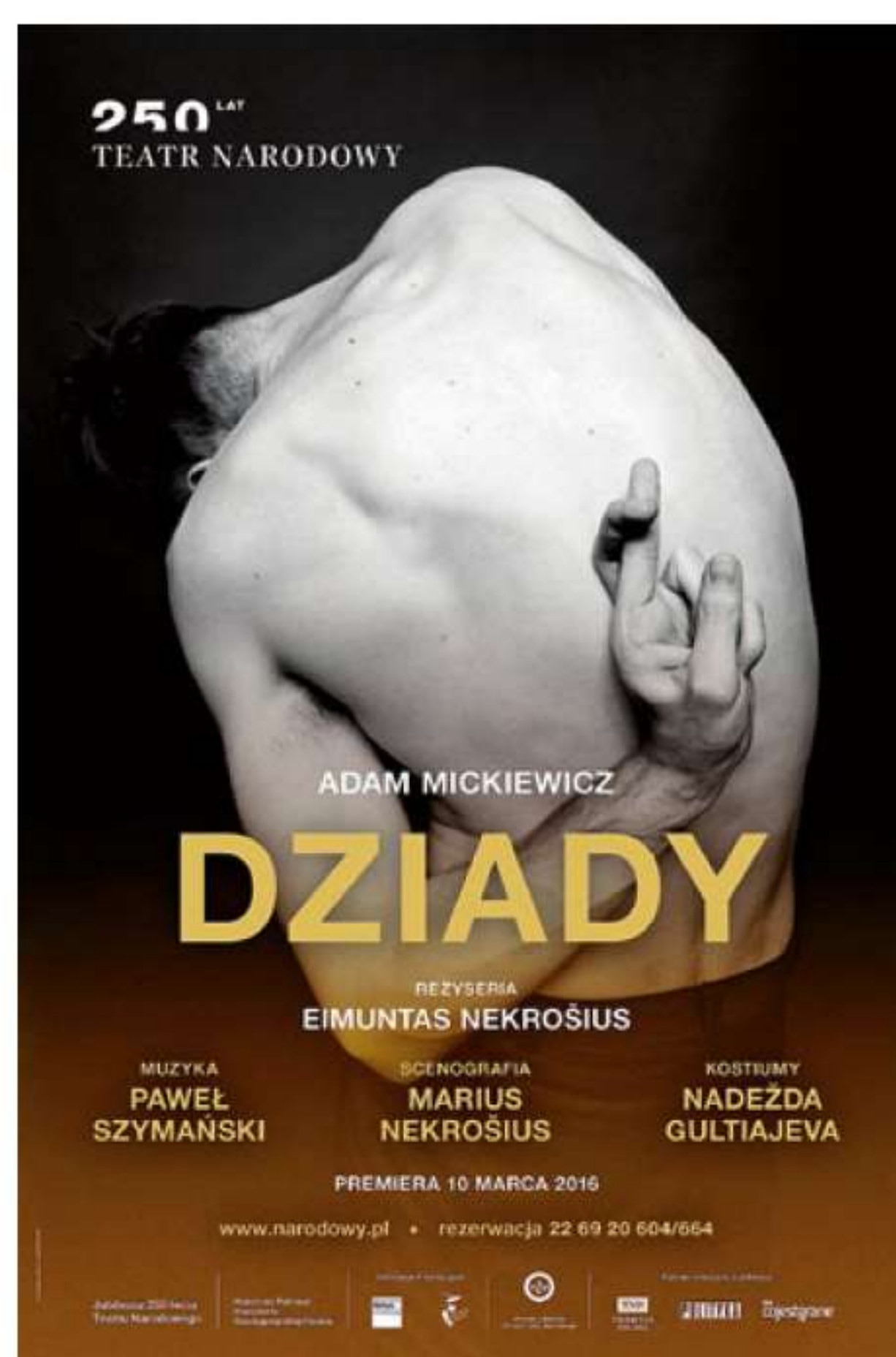
Szukanie teatru narodowego

Warto jednak na to przedstawienie spojrzeć z innej strony. Kazimierz Dejmek nie był przeciwnikiem władzy ludowej ani przyjaźni ze Związkiem Sowieckim. Co ciekawsze, był też przekonany marksistą, zwolennikiem nasycenia kultury polskiej wątkami plebejskimi, w przeszłości aktywnie współtworzył teatr socrealistyczny.

A równocześnie co najmniej od końca lat 50. szukał formuły najlepszego „teatru narodowego”. W efekcie dał Polsce spektakl może najmocniej nasycony wątkami patriotycznymi (co musiało się zderzyć z wrażliwością rządzącego systemu), a także religijnymi. Choć w Boga nie wierzył, uważał tradycyjną religijność za niezwykle ważny składnik narodowej kultury. Szukał także naturalnej równowagi między szlacheckim romantyzmem a ludową mądrością – co łączyło obrzędy dziadów z wątkiem studenckiej konspiracji.

Mało kto zdołał obejrzeć tę może najpełniejszą i najbardziej zgodną z intencjami Mickiewicza interpretację wielkiego dramatu. Pozostała po niej powtarzana czasem Wielka Improwizacja w wykonaniu Holoubka, którego, co ciekawe, wielu recenzentów uważało wcześniej za niepasującego do roli romantycznego bohatera.

Lata 70. przyniosły kolejne podejście do tematu. Literalnie rzecz biorąc, inscenizację Konrada Swinarskiego z krakowskiego Starego Teatru można by uznać za polemikę z wizją Dejmka. Wadzeniu się z Bogiem nadał sławny reżyser wyjątkowo



■ drastyczny wyraz, a chłopską gromadę przeciwstawił nie tylko carskiej władzy, lecz i szlacheckim romantykom (stąd choćby jajka jedzone podczas wypowiedzianej przez Jerzego Trełę Wielkiej Improwizacji – nie rozumiem, dlaczego moje uwagi o lewicowej wrażliwości Swinarskiego tak bardzo oburzają krytyków).

W scenach obrzędów pomieścił akcenty nieledwie bluźniercze. Ale jak trafnie zauważyła Elżbieta Wyśńska w książce „Premiery i wydarzenia”, to obrazoburstwo było w dużej mierze ignorowane i przez niektórych recenzentów, i zwłaszcza przez publiczność. Krytyczka nie mogła z powodów cenzuralnych napisać, że dla Polaków „Dziady” były szczególnym elementem narodowej tożsamości niejako przeciw władzy, i to również w ospałych czasach Gierkowskiej prosperity. To także dlatego romantyczny wiersz między rokiem 1973 a początkiem lat 80. przyciągał do Krakowa procesje z wszystkich miast Polski.

Krzysztof Kolberger). Ta inscenizacja zapowiadała poniekąd wybuch „Solidarności”.

Potem trudno już mówić o szczególnie odkrywczych inscenizacjach. W Warszawie ostatni porwali się na ten dramat Jerzy Krasowski i Krystyna Skuszanka w 1987 r. Kierowali wtedy Teatrem Narodowym (wówczas, po pożarze, grającym na scenie Teatru Na Woli) z woli władz stanu wojennego i mimo wcześniejszych osiągnięć nie cieszyli się sympatią wyrobionej publiczności ani nie skompletowali zespołu na miarę takiego wyzwania. Zostało ono nawet w prasie oficjalnej zaklasyfikowane jako przeciętne, podobnie jak zapomniany odtwórca głównej roli Jacek Dżisiewicz.

„Dziady” po komunie

Wraz z wolną Polską zniknęła trochę owa magiczna więź łącząca publikę z dramatem romantycznym, wynikała po prostu z sytuacji Polski. Można by rzec, że po-

W ostatnich latach „Dziady” wróciły, jednak nie w Warszawie i nie w Krakowie. Stały się przedmiotem spływających, czasem pożałowania godnych sztuczek. Radosław Rychcik zgodnie ze swą stałą manierą zagrał je w poznańskim Teatrze Polskim jako dramat o doli... ludności murzyńskiej w USA. Michał Zadara nie poszedł aż tak daleko, ale wystawiając we wrocławskim Teatrze Polskim kolejne części, starał się za wszelką cenę uwspółcześnić ich zawartość, grając głównie ekscentryczną scenografią i „uwspółcześnioną” konwencją budowania postaci, lecz niekoniecznie osiągając klarowność przekazu. Ostatnio postawił z kolei na odtworzenie całości. Autor tego tekstu efektów jeszcze nie zna.

Nowa oferta

Z jednej strony te umysłowe drgawki są przejawem kryzysu teatru w ogóle. Z drugiej stoi przed nami pytanie, jak grać „Dziady”, co dziś wydobywać z tego dramatu. Gdzie szukać jego aktualności?

Chociaż tradycja romantyczno-mesjanistyczna nie zniknęła z polskiego życia publicznego, przez środowiska artystyczne jest traktowana ze wzgardą, jako coś nieaktualnego, może i śmiesznego. Zarazem nie mają one odwagi na rozprawę z „Dziadami” przez ich wystawianie „na opak” – stąd ucieczka w dziwaczne dygresje, jak odnajdywanie w opresji senatora Nowosilcowa... Ku-Klux-Klanu.

Na ile odtwarzam z relacji zamysł litewskiego reżysera, jego zainteresował najmocniej dramat indywidualny. Nie musi to prowadzić do zwulgaryzowania kontekstu historycznego, choć może on zostać zepchnięty na nieco dalszy plan. Jednak „Dziady” przy wszystkich swoich fragmentach przesadnych, zbyt manierowanych są tekstem na tyle skomplikowanym, chwilami kosmicznym, że da się z nich wydobyć najróżniejsze sensy. Przypomnijmy bardzo mocno: nie jest to sztuka realistyczna.

Dlatego oferta Nekrośiusa może się okazać ofertą nad wyraz ciekawą. A dzięki użyciu dużego aktorskiego potencjału Teatru Narodowego – nawet ożywczą i przełomową. Warto trzymać za to kciuki – to może być ważne wydarzenie czyniące z klasyki coś więcej niż tworzywo prymitywnych przeróbek i zabaw. Premiera już w czwartek 10 marca – podobno z udziałem prezydenta. ■



Grzegorz Małecki jako Gustaw-Konrad. Zdj. z próby

Zarazem wielu pociągały też efekty teatralne. Żebracy umieszczeni w foyer oburzyli wprawdzie Holoubka, który jak widz nie wszedł nawet na salę, jednak inni traktowali takie zabiegi jako dowód żywotności romantycznego dramatu. Swinarski znakomicie operował scenami zbiorowymi, zapierał też dech widzom, kiedy aktor grający Rollisona „naprawdę” wyskakiwał z okna na plac Szczepański.

W roku 1979 całkiem przyzwoitą III Część „Dziadów” wystawił na małej, nieistniejącej już, scenie Teatru Narodowego Adam Hanuszkiewicz. Była tu druga część tryptyku o Mickiewiczu, a pomawiany często o nonszalancki stosunek do literackich kanonów reżyser tym razem pozwolił wybrzmieć poezji (Gustawem-Konradem był

żegnaniem z nią był film Tadeusza Konwickiego „Lawa” nie tylko pokazujący zdarzenia w plenerach Wilna, lecz i nawiązujący do takich konkretnych zdarzeń jak strajk w Stoczni Gdańskiej w roku 1980.

Gdzieś trochę na boku z tekstem „Dziadów” eksperymentował, tak jak ze wszystkim, Jerzy Grzegorzewski, szatkując go, rozdzielając główną postać na kilka, szukając nowych sensów i biorąc ogólnie znane sytuacje i symbole w nawias. Po raz pierwszy zrobił to w warszawskim Teatrze Studio w roku 1987, potem w Starym Teatrze – w 1995 r. Ale poza nim najbardziej znani twórcy unikali tego tworzywa jak ognia. Tak jakby obawiano się zarówno grać je na sposób tradycyjny, jak i bawić się w jego używanie do nowych odkryć.